Ner 23. Kraków 1 grudnia 1868. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI i ADMINISTRACYI przy ul. Jagiellońskiéj Nr. 204 na dole otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9téj do 12téj rano.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dla Prenumerujących **mody**.

O powieści i powieściopisarzach

przez

Lucyana Tomasza Rycharskiego.

(Ciąg dalszy.)

James, autor „Darnleya“, zdaje się, że pojął przeznaczenie i obowiązek tego literackiego powołania. — W rzeczy saméj romanse jego mieszczą w sobie postrzeżenia trafne i jasne, ale mało interesują; widzi on, ale nie czuje wespół; obraz jest dokładnie wykonany, ale nie czyni wrażenia na umyśle; a osoby, które on niby przeprowadza przed naszemi oczyma, wzbudzają na chwilę ciekawość, ale serca nie zajmują. *Walter-Skot* przeciwnie do trafności szybkiego pojęcia łączy nadzwyczajną władzę wzruszania, a pomimo zupełnéj bezstronności zawsze nas zająć umie. Możnaby go przyrównać do człowieka, który otwiera okno lub staje na balkonie, aby ci pokazał wielki krajobraz i tam w oddaleniu wschodzące słońce i poprzedzielany na widnokręgu las sosnowy; tu znowu jezdni pędzą po równinie, a w głębi doliny zaczyna się utarczka, widać dym od strzałów pistoletowych, słychać huk ruśnic; tuż obok przechodzą wieśniacy, na nic nie zważający lub ciekawi, a za nimi myśliwiec ze swoim psem; nakoniec ruch na całéj przestrzeni, wielka akcyja ciągle się zmieniająca i zmienna i dziwnie zajmująca. Zaś u pana *James*, któremu nie braknie ani nauki, ani dowcipu, ani stylu, osoby stoją w miejscu nieporuszone, i zaledwo dostrzedz w nich można, że żyją. — Otóż jak trudno naśladować wielkiego mistrza! Zdaje się komuś, że w naśladowaniu uchwycił cechy wewnętrzne jego myśli, a on tylko przejął formy powierzchowne dzieła.

W całéj Europie rzucono się do naśladowania Walter-Skota, a żaden z tych naśladowników nie dociekł jego tajemnicy. — Włosi dosyć się odznaczyli w tym zawodzie. Są u *Manzoniego*, u *Rozyniego* malowidła żywe i delikatne, pojmują oni naturę pod względem więcéj poetycznym, więcéj romansowym, niż na romansistów historycznych przystało. „La Sibilla Odoleta“, „I. Promessi Sposi“ wzruszają nas czasem, lecz nie dają dość jasnego wyobrażenia o starodawnych obyczajach i zwyczajach. Talent i biegłość starożytnika nie wydają się tam dość połączone z talentem poety. Nieraz ci pisarze wydają szczęśliwie namiętne uczucia, ale im braknie rzutu oka surowego i zarazem łagodnego, jakim się odznacza Walter-Skot, który ma na doręczu uśmiech na wszystkie śmieszności, umie wydać należycie każdą słabość, zdoła się rozczulić i uronić łzę dla każdéj cnoty, a bystrym i trafnym jest w dostrzeganiu i rozpoznaniu wszystkich charakterów. Toż samo zupełnie zaszło i u Niemców. *Meissner* i *Weit-Weber* kusili się o romans historyczny, nie bez talentu, lecz nie potrafili się zbliżyć do Walter-Skota. *Weit-Weber* zwolennik XVIII. wieku i filozofii tegoż wieku, zawzięty nieprzyjaciel feodalności i panów lennych, założył sobie za cel główny, pisać przeciwko dawnéj szlachcie. Ztąd w jego romansach widać dążenie wyłączne, widać wyraźny i nieodmienny zamiar, widać oczywiście stronność; a cały wdzięk romansu historycznego znika dla braku prostoty szczeréj i niewinnéj. Romansista zaś szkocki malując nam grubijaństwo gwałtowne nieokrzesanego i strasznego rycerza „Front-de-Bouef“, stawia nam przytem przed oczy przykłady dowcipu, heroizmu i ducha wojowniczego dawnych czasów. Weit-Weber maluje tylko okrutników, maluje potwory w ludzkiéj postaci, maluje Ruzyrysów zbrojnych pancerzem. — *Meissner* na nieszczęście jest zbyt romansowy; nasadza za wiele kolorytu w swoich obrazach, a jego heroiny nieporównanéj piękności, pełne wymysłu i dziwactw są takie, jakich nigdy nie było na świecie. Romans „Bianca Capella“ jest dość interesującym, ani mu nie zbywa na imaginacyi; lecz i tu zarzucić można Meissnerowi, że poprzeistaczał dzieje historyczne, i że najwięcéj pobłądził, wdając się w malowanie obrazów zbyt wolnych i gorszących, jakich sobie Walter-Skot nigdy nie pozwolił.

Dwóch jeszcze lub trzech innych pisarzy niemieckich doświadczało swoich zdolności i usiłowań w tymże samym rodzaju; z nich nie mogę tu pominąć *Henryka Zschokke*, który okazał wiele talentu przyjemnego i ujmującego, ale zbyt często mięsza idyllę fantastyczną ze wspomnieniami historycznemi. Umie on ułożyć powieść

interesującą, umie ożywić osoby przez siebie wprowadzone i wystawić je w położeniu podobném do prawdy. Lecz zbyt często przebijający się w nim styl Gesnerowski, osoby sielankowe, wyobrażenia właściwe poezyi idyllicznéj i obłędne urojenia muzy niemieckiéj nadają scenie przez niego wybranéj jakąś barwę spaczności i sfalszowania.

U francuzkich pisarzy jeszcze trudniéj o dobrych naśladowców. Z pomiędzy nich *Paweł Lacroix* najwyżéj stanął przez swoją erudycyę tak mozolną i drobiazgową. „Les Mauvais Garçons“ przez panów *Royer* i *Barbier* wystawiają obraz starodawnego Paryża pełen prostoty i szczérości. Tymczasem *Wictor Hugo*, a bardziéj jeszcze współcześni jego naśladownicy swoim przykładem pociągnęli za sobą większą część pisarzy; w ich utworach pełno jest samych okropności, w czém nawet przesadzili swojego mistrza, który obok najokropniejszych obrazów umieszcza malowidła żywe i powabne. Nie można tu pominąć pana *de Vigny*, którego romans „Cing-mars“ jest zajmujący, pełen rozmaitości i wymowy. Widać tylko, że autor nie dość dobrze pojął charaktery osób niższych stanów, co mu było tak potrzebne do odmalowania wieku. Odłożywszy na stronę opisy ubiorów, zbroisk i sprzętów domowych, małoby się tam znalazło rysów rzeczywistości, to jest takich rysów, które odznaczają rozmaite zmiany i cieniowania charakterów epoki. — Cała zewnętrzna, powszednia natura, tak rozmaita i malowna w drobnych i powszednich szczegółach, w których kocha się malarz holenderski i poeta polski, nie istnieje dla francuskiego romansopisarza i poety, i dla tego to musi on wymyślać te zaciekłe, namiętne a przesadne okropności, służące za bodziec interesu w dziełach imaginacyi. Tutaj może tai się przyczyna owego dziwnego wyrodzenia się poezyi u tak znakomitego, zkądinąd i rozumnego narodu. Po dostrzeżeniu, że literatura klasyczna była chłodna i prozaiczna, zapragniono poezyi, lecz zkądże ją wywieść? Stan cywilizacyi francuzkiéj nie dopuszczał sympatyi z naturalnemi i spokojnemi kontemplacyami, które w całéj naturze jedną tylko a niewyczerpaną skarbnicę poetycznych kształtów wyśledzają; wymyślili, że ona jest w jakimś excentrycyzmie, i tą drogą dotąd się biją i nękają. Poeci francuzcy zgodnie z ogólną cywilizacyją swego narodu, przenieśli zawód sztuki całkowicie w sferę namiętności społecznych. Jest to dla niéj duszne i nieprzyrodne powietrze, bo życie ludzkie nie powinno i nie może rozrywać węzłów z zewnętrzną naturą, a kiedy je zrywa, ściera z siebie co najpoetyczniejszą barwę.

Trudno odgadnąć, czy umyślnie, czy przypadkowo pan *Taylor*, znany w Angli z wielu dzieł filozoficznych, w tym samym właśnie przedmiocie, co pan *de Vigny*, wydał swoje dzieło pod napisem: „Artevelde“, w formie dość szczególnéj. Jestto pod względem pomysłu i treści romans historyczny, a co do układu dramat, albo raczéj jest to romans w formie dramatu. (I ta nowość nie po raz pierwszy się zjawiła; bo od czasu pokazania się na horyzoncie literackim dzieł *Goethego* i *Szyllera*, Niemcy naklecili mnóstwo romansów w podobnéj formie, które nie dają się przedstawić na scenie dla swojéj długości, chociaż z dzieł teatralnych przejęły dyalog i całą postać zewnętrzną. Prócz tego nietylko *Lacretelle* i dawniejszy od niego prezydent *Hainault* wydali wielkie dramata jednotomowe wcale nie przeznaczone dla sceny, ale znajdujemy wiele dzieł podobnych w starodawnéj literaturze francuzkiéj. Między innemi „Celestyna“ jest także romans cały w rozmowach, czy téż dramat romansowy. Nakoniec jakby na dowód, że umysł ludzki zawsze jest do siebie podobny i postępuje odwiecznie tąż samą drogą, zjawisko zupełnie podobne ukazuje się w starożytnéj literaturze Sanskryckiéj. Jest tam jeden dramat w 90ciu aktach, którego przedstawienie, gdyby kto chciał zrobić tę próbę, zająłoby cały miesiąc czasu). Romans Taylora w formie dramatycznéj wielkie wrażenie sprawił w Anglii. Była to prawdziwa nowość w literaturze angielskiéj, odznaczona pierwszém usiłowaniem dążącém do zarzucenia poezyi cierpkiéj i gwałtownéj, albo téż mistycznéj i bezrozumnéj. Dzieło to podobne razem i do romansów Walter-Skota pod względem pojęcia rzeczy i obranego stanowiska, i do sztuk teatralnych Szekspira pod względem formy dramatycznéj. W autorze widać człowieka z wielkim charakterem męzkim i niezłomnym, nietylko w samém wykonaniu dzieła, ale i w przedmowie umieszczonéj na wstępie, gdzie Taylor z całą jasnością i mocą przekonania występuje z zarzutami swemi przeciwko poezyi Byrońskiéj.

Irwing Washington (Amerykanin) jest jedyny w naszych czasach pisarz, zbliżający się do Walter-Skota. Że jeden pisze powiastki, a drugi romanse, to nic nie stanowi. Jednakże prawa poetyczne Irwinga zdają się taić w imaginacyi, z jaką ożywia wszystko, czego się dotknie. Pełne barwy powieści, jak np. „Rip-van-Winkle“, „Upiór bez głowy“, „Hallidon-hill“ są zapewne tak doskonałe w swoim rodzaju, jak romanse Walter-Skota w swoim. Pomimo swéj przyrodniéj lekkości, swéj ustawicznéj żartobliwości, Irwing jest wielkim poetą; nie zapomina on nigdzie malownéj strony swego przedmiotu; owszem wywodzi ją na jaw, robi tłem swoich obrazów, z wielką świeżością, z wielkim urokiem, poetyzuje nią swoje burleski.

. . . .

(Ciąg d. nast.)

Sonety nadwiślańskie.

I.

Witam cię stary grodzie Jagiellonów,
Arko świętości naszych wiecznotrwała!
W tobie cierpienia narodu i chwała,
Królewskie trumny i szczątki ich tronów,

Gdy uroczysty głos kościelnych dzwonów
Zadrgał w powietrzu, to pierś moja cała
Niby organy modlitewnie grała,
A przeszłość rzewnych dodawała tonów....

I długo stałem smutny — zadumany,
Marzący o tém, co już niepowrotne...
I zabolały zabliźnione rany,
A myśli moje, takie przedtem lotne,
Spadły, jak ptaszę skrwawione na łany,
I były smutne, chmurne, ciemne, słotne!

II.

Rankiem twe wieże słońcem ozłocone
Jakże czarują przepysznym widokiem!
Wawel mgły srebrnéj odział się obłokiem —
Nad mgłą kopuły i krzyże wzniesione!

Wszędzie tu cuda! w którąkolwiek stronę
Spojrzysz myślami i sercem i okiem,
Przeszłość za tobą idzie krok za krokiem
I tajemniczą podnosi zasłonę.

Schyl kornie głowę — uklęknij w pokorze
Na mogilniku olbrzymim narodu,
I słuchaj pieśni, co wieje od grodu
Przez stare mury i świątynie boże.
A smutek skrzydła obciąży za młodu,
I śmiać zapomnisz się na długo może.

III.

Wieczór... rybackie zaparto już chaty —
Niebo tysiącem iskrzących gwiazd płonie;
Księżyc w wiślanych falach kąpie skronie,
A ciemny Wawel jak żołnierskie czaty.

Cicho dokoła... śpią ludzie i światy...
Tylko łódź moja przez wiślane tonie
Płynie, w odbitych w wodzie gwiazd koronie,
A dusza marzy o tém co przed laty....

Głucho — czasami z szérokiéj topoli
Ruszony wiatrem liść na wodę padnie,
Ryba się pluśnie lub fala powoli
O brzeg zadzwoni... coś szepcze — któż zgadnie?
Może się skarży na to co ją boli —
Lub z tych tajemnic spowiada, co na dnie.

P. P.

Balowe rękawiczki.

Obrazek dramatyczny w jednym akcie*)

oryginalnie napisany przez

Władysława hr. Koziebrodzkiego.

OSOBY.

Hrabina Ida, wdowa (lat 23.)
Hrabia Albert (lat 32.)
Witold (lat 25.)
Zosia, panna służąca (lat 19.)
Michał, służący (lat 50.)
(Rzecz dzieje się we Lwowie.)

AKT I.

(Wytworny kobiecy buduar, firanki, portiery, kominek, na którym płonie ogień, kilka kanapek, karła, stoliki na których książki i drobiazgi kobiece, duże lustro stojące, fortepian, na jednym stoliku lampa, po bokach kandelabry.)

SCENA I.

Hr. **Ida** (ubrana w świetny strój balowy, leży niedbale na kanapie, przy niéj) **Zosia** (z szarfą w ręku).

Zosia. Już ósma godzina proszę pani hrabiny (po chwili). Czy pani hrabina nie będzie kończyć ubrania? (po chwili) za chwilę pewnie kto przyjdzie...

Hr. Ida (budząc się z zamyślenia). Co mówisz Zosiu?...

Zosia. Chciałabym proszę pani hrabiny poprawić jeszcze włosy i przypiąć tę szarfę.

Hr. Ida. Później (po chwili). Ah!... jakże nie mam ochoty iść na bal dzisiejszy!... (do siebie) a jednakże muszę, muszę!...

Zosia. Pani hrabina chyba żartuje, tak wielki bal!... tyle będzie osób!... tylu panów... a pani hrabina tak ślicznie ubrana...

Hr. Ida. To mnie nie bawi!...

Zosia. O!... mój Boże, wszak tańczyć będą!...

Hr. Ida (śmiejąc się). Dziecko z ciebie...

Zosia. Pani hrabina śmieje się, a mnie na płacz się zbiera... kiedy pomyślę, że to już bal ostatni... że jutro wyjeżdżamy ze Lwowa... na wieś w taki czas... na takie śniegi... i to w połowie karnawału...

Hr. Ida. Cóż cię to tak martwi?...

Zosia. Bo tam będzie nudno... smutno... bo tam tygodniami nikogo nigdy nie widać!... (smutnie po chwili) Co my tam będziemy robić, proszę pani hrabiny?...

Hr. Ida. Jesteś zepsutą miastem moja Zosiu!...

Zosia. Jużto proszę pani hrabiny co miasto to miasto, jak tylko człowiek wyjdzie na ulicę, to jest się już czemu przypatrzyć... i jest czém rozerwać. — A na wsi Boże, to zawsze jak rok długi jedno i to samo...

Hr. Ida. Więc ci tak żal Lwowa?...

Zosia. O żal, bardzo żal proszę pani hrabiny, bo to jeszcze karnawał!... (po chwili) Już to ja pojąć nie mogę, dla czego pani hrabina wyjeżdża ze Lwowa... gdzie panią hrabinę tak wszyscy kochają!...

---

*) Nie wolno przedstawiać na scenie bez porozumienia się z autorem.

Hr. Ida (do siebie). Kochają?...

Zosia. Tu tak wesoło — cały dzień ktoś przychodzi, co wieczór pani hrabina idzie albo na bal, albo do teatru zawsze...

Hr. Ida. Czy ty myślisz Zosiu, że to takie zabawne?...

Zosia. Oh!... Boże, czy może być większe szczęście na świecie?...

Hr. Ida. Dziecko z ciebie moja Zosiu!...

Zosia. Jakie to szczęście, pięknie się ubrać, pójść na bal!... tańczyć — tak jak dzisiaj (po chwili smutnie). A pani hrabina wyjeżdża ze Lwowa...

Hr. Ida. Tak Zosiu, wyjeżdżam stanowczo!... bo mam już tych balów... tego gwaru dosyć... bo mnie to wszystko męczy i nudzi... bo pragnę ciszy!... spokoju... (po chwili) Ah!... ale prawda... pokaż już tę szarfę... i przynieś zwierciadło — dziś jeszcze muszę odbyć tę pańszczyznę... muszę się światu pokazać... muszę!...

Zosia (podając zwierciadło). Jaka pani hrabina śliczna!... Boże o!... to też nie dziwno, iż pan hrabia Albert tak często do nas przychodzi...

Hr. Ida (śmiejąc się). Co ci się śni moja Zosiu...

Zosia (kiwając głową). O!... i pan Witold...

Hr. Ida (pomieszana opuszczając szarfę). Pan Witold... zkąd wiesz?...

Zosia. Albož nie przejeżdża na koniu pod oknami pani hrabiny po dniach całych, a jak kiedyś pani hrabina była cierpiąca, to co godzinę przychodził dowiadywać się o zdrowie.

Hr. Ida (n. s.). Poczciwy!...

Zosia. Już to ja wiem....

Hr. Ida (przerywając). No dobrze!... dobrze, a gdzie bukiet, gdzie perfumy (idzie przed stojące zwierciadło).

Zosia (podając bukiet i perfumy). Tu są, proszę pani hr.... Wiem że pan Witold...

Hr. Ida (przed zwierciadłem). Popraw trochę te kwiaty, żeby tak nie spadały na szyję...

Zosia (poprawiając). Pan Witold to bardzo grzeczny — ale pan hr. Albert to taki wesoły....

Hr. Ida. A rękawiczki?...

Zosia. Zaraz przyniosę!... (wybiega).

SCENA II.

Hrabina **Ida** (sama).

Hr. Ida (przed zwierciadłem). Albert!... Witold... Witold... nie! ja muszę wyjechać ze Lwowa... (po chwili) Albert!... wesoły... dowcipny... towarzystwo jego mnie bawi... lecz niecierpliwi jego zarozumiałość... świat mówi, że się stara o moją rękę!... że mnie kocha!... on!... ah!... znam jego teoryje pod tym względem, bo ich nie ukrywa!... on kochać?!... — zresztą ja nie chcę, żeby mnie kochał!... muszę wyjechać ze Lwowa!... (po chwili przyglądając się w zwierciedle) Zosia za nizko przypięła te kwiaty (po chwili) Witold... Witold, czemu on taki milczący — czemu nie przybliży się nigdy do mnie? (po chwili) a mówią, że także zakochany we mnie, ah gdyby!... (odchodzi od zwierciadła). A kiedy zakochany, to czemu... (urywa po chwili) gniewa mnie to, niecierpliwi (z uporem) wyjadę ze Lwowa, wyjadę... (siada). Jaki on ma wzrok przenikający, kiedyś u księżnéj na herbacie, chociaż stał odemnie o kilka kroków, to wzrok jego czułam magnetycznie... czemu on nie taki rozmowny jak Albert?... Wyjadę ze Lwowa... (po chwili) A czy na wsi będę szczęśliwą? (zamyśla się) Tak!... jeszcze dziś będę na balu!... muszę być... może Witold wiedząc, że odjeżdżam, może!... oh Boże, jak mi smutno!... (smutnie) Ah!... gdyby?!... wszak obiecał przynieść jakieś nuty?... czy przyjdzie?... (smutnie) O!... ja wyjadę ze Lwowa i nie wrócę nigdy!... nigdy!...

SCENA III.

Hrabina **Ida**. **Zosia** (z pudełkiem w ręku).

Zosia. Przynoszę proszę pani hrabiny rękawiczki, ale jest już tylko jedna — ostatnia para!

Hr. Ida. Jakto?... już nie ma więcéj rękawiczek?

Zosia. Pani hrabina zużyła już wszystkie inne.

Hr. Ida. Moja Zosiu, jesteś roztrzepana i nie pamiętasz o niczém...

Zosia. Ja przypominałam pani hrabinie, ale jeszcze nie nadeszły z Paryża...

Hr. Ida. To trzeba mi było wcześniéj o tém powiedzieć, wszak wiesz, iż na moją rękę nie mogę nigdy dobrać rękawiczek...

Zosia. Pani hrabina ma taką rękę jak małe dziecko!...

Hr. Ida. Rozważ tylko sama, iż gdyby nie ta ostatnia para, to dla takiego błahego powodu musiałabym pozostać w domu!... niktby temu nie uwierzył (rozciąga rękawiczki, zwija i kładzie na małym stoliczku przed kanapą).

Zosia. Ja temu nie winna!... a i tak proszę pani hrabiny już wyjeżdżamy.

SCENA IV.

Hrabina **Ida**. **Zosia**. **Michał**.

Michał (we drzwiach). Pan Witold!

Hr. Ida (wesoło). Pan Witold!... proś!... proś!... chodź Zosiu, musisz mi poprawić jeszcze te kwiaty na głowie... (wychodzą).

SCENA V.

Witold (sam w balowém ubraniu).

WITOLD (nieśmiało z nutami w rękach staje we drzwiach). Nie ma jéj... (po chwili) Serce mi tak bije... (idzie naprzód sceny) Co znaczy jéj wyjazd tak nagły!... podczas zabaw karnawału?!... (po chwili) Przyjęła mnie, co za szczęście — wzruszony jestem... będę z nią sam na sam... a gdybym się odważył wypowiedzieć?... wszak odjeżdża, a jak odjedzie?!... to już nadziei nawet żadnéj... (po chwili) nie odważę się nigdy... (po chwili rozpatrując się dokoła) Jak tu urok jéj znać wszędzie! jak w każdym drobiazgu maluje się jéj umysł wyższy i szlachetne serce!... (po chwili) Znać wyszła przed chwilą, lecz zapach jéj włosów w powietrzu, lecz zgięcie atlasu na tym szezlągu, lecz czar rozlany wszędzie mówią mi, że ona tu była!... Jak ja ją kocham (zamyśla się) kocham!... Lecz jak jéj wyznać tę miłość — ona przyzwyczajona do tylu oświadczeń, do tylu pochlebstw!... czy szczérym mym słowom uwierzy...? a jutro wyjeżdża... Boże, co począć (po chwili) tak, dziś lub nigdy!... dziś... dziś koniecznie — (po chwili) lecz co znaczy ten wyjazd jéj tak nagły... Oh!... gdyby była na dzisiejszym balu... o tak, pośród muzyki — gwaru... możebym się odważył odkryć uczucia moje!... tak, na balu tylko... jeżeli będzie — to ją poproszę do kadryla... W kadrylu najłatwiéj... (po chwili) Ale czy będzie — ktoś nadchodzi, może ona?...

SCENA VI.

Witold. Michał.

MICHAŁ (we drzwiach). Pan hrabia Albert.

WITOLD (n. s.). Ot!... i nie będę z nią mógł sam na sam pomówić...

MICHAŁ (wychodząc). Muszę panią hrabinę uprzedzić (wychodzi).

SCENA VII.

Witold. Albert (w balowém ubraniu).

ALBERT (we drzwiach). Witold (n. s.) wcale nie potrzebny (głośno). Proszę?... tutaj?...

WITOLD (starając się przybrać ton lekki i żartobliwy). Czy cię to dziwi?... wszak i ty tutaj (n. s.), a czuję, że miałbym był odwagę...

ALBERT (zaczyna chodzić w poprzek sceny na stronie). Wyjazd jéj niespodziewany... zdecydował mnie ostatecznie... myślałem, że zastanę samą... (głośno) Aha!... mówiłeś, że i ja tutaj... widzisz drogi, to co innego... ja bywam tutaj bardzo często...

WITOLD (n. s.). Chwali się. (głośno) Powiedz miły, iż bywałeś, gdyż pani Ida wyjeżdża...

ALBERT. Wyjeżdża... tak... ale nie na długo!...

WITOLD (zaczyna chodzić w przeciwną stronę Alberta i wymija go). Na całą zimę...

ALBERT. Powróci!...

WITOLD. Zkąd wiesz?...

ALBERT. To moja tajemnica (n. s.) Jak się go pozbyć?...

WITOLD (chodząc n. s.) Co teraz pocznę, ah!... gdyby był Albert nie nadszedł...

ALBERT (w rogu sceny śmiejąc się). Mój rywal... ale nie jest niebezpieczny!... nieśmiały — a tego kobiety nie lubią.

WITOLD (n. s.). Czyby Albert!... a!... to rywal pewnie.

ALBERT (n. s.) Dziś lub nigdy (głośno). Drogi!... prawda, jak pięknie na dworze...

WITOLD. Tak, tylko deszcz ze śniegiem pada.

ALBERT. Ja to lubię.

WITOLD. I ja także.

ALBERT. Więc widocznie mamy jednakowe gusta, ha!... ha!... jak to zabawne!... (n. s.) Jak się go pozbyć...

WITOLD. Ha!... ha!... proszę, jednakowe gusta.

ALBERT. Czy nie idziesz na bal?...

WITOLD. A ty?...

ALBERT. Jeszcze czas!...

WITOLD. I ja to samo znajduję!... (n. s) Uwziął się widocznie...

ALBERT (niecierpliwie zaczyna śpiewać aryję z Offenbacha). Nieznośny...

SCENA VIII.

Ciż sami i **Michał**.

MICHAŁ. Pani hrabina dokończa ubrania i zaraz będzie służyć...

ALBERT. Dobrze!... dobrze!... (Michał wychodzi).

SCENA IX.

Witold. — Albert.

ALBERT (n. s.). Muszę się go pozbyć zanim nadejdzie!... ale jak?...

WITOLD (n. s.) Kto wie!?... czuję tyle odwagi w sobie, gdyby odszedł...

ALBERT (n. s.). Sprobuję (głośno — w chwili kiedy spotykają się na środku sceny i patrzą na siebie). Słuchaj Witoldzie!... ty nie wiesz jak cię lubię bardzo...

WITOLD. Nie więcéj jak ja ciebie.

ALBERT. Cieszy mnie to... a więc mam prośbę do ciebie...

WITOLD. To zabawne i ja mam prośbę do ciebie....

ALBERT. To mów pierwszy!...

WITOLD. Za nic w świecie.

ALBERT. Ustępuję ci... proszę!...

Witold. Pierwszeństwa tego przyjąć nie mogę.... słucham...

Albert. Pierwszy nie zacznę... (zaczyna z gniewem chodzić po scenie i śpiewa) (n. s.) Co robić?...

Witold (n. s). Chcę sam pozostać!... nie odejdę...

Albert (n. s). Fatalna godzina...

Witold. Alej się zapominamy, to nie wypada tak chodzić po kobiecym buduarze (siada w rogu sceny).

Albert. Masz słusznie (siada w drugim rogu i łamie wachlarz n. s.). Złamałem wachlarz... gdybym jego tak mógł złamać...

Witold (n. s.) Wcale niewesoły... (chwila milczenia).

Albert. (n. s.) Obydwa pozostać nie możemy... muszę działać otwarcie...

Witold (n. s.). Przeszkadzamy sobie widocznie.

Albert (n. s.). Rozpocznę (zaczyna karłem powoli przysuwać się ku środkowi sceny głośno:) Słuchaj Witołdzie!... ja cię posądzam... żeś ty tu nie przyszedł bez intencyi... drogi mój....

Witold (przysuwając się równie fotelem ku środkowi sceny). Wiesz Albercie... iż ja cię o to samo posądzam mój najmilszy!...

Albert. Tak!... może?... a gdyby?...

Witold (cofa się karłem). Przyznajesz!...

Albert. A ty?...

Witold. Nieprzeczę!...

Albert (cofając się karłem). To cię żałuję!...

Witold. Czy tak?...

Albert. Drogi mój!... nie masz najmniejszéj szansy... najmniejszéj!... jestem przekonany, iż pani Ida... kocha mnie!...

Witold. Ba!...

Albert. Nie wierzysz!...

Witold. Nie mówię tego!...

Albert. Niech to cię nie dziwi!... widzisz, ja całe życie!... miałem niezmiernie wiele szczęścia do kobiet... (z pretensyją) bo umiałem zawsze zręcznie obchodzić się z tém cackiem....

Witold. Można ci tylko powinszować.

Albert. Nie ma czego tak dalece... bo widzisz kobieta to zupełnie jak cień od słońca... unikasz — to cię goni... gonisz — to ucieka... rzecz cała na tem... kiedy gonić, a kiedy uciekać... a ja tę wiadomość z gruntu posiadam....

Witold. Oh!...

Albert. Kobietę łatwiéj zdobyć jak Troję.

Witold. To zależy od kobiety!...

Albert. Powiedz raczéj od oblegającego!.. ty na przykład... (po chwili). Lecz do rzeczy. Jak wiesz, hr. Ida, pośród karnawału, balów! zabaw!... postanowiła naraz Lwów opuścić... i na jakiś czas zakopać się na wsi!...

Witold (wzdychając). Wiem!...

Albert (przysuwając karło). Wzdychasz!.. a czy ty wiesz dla czego pani Ida wyjeżdża?...

Witold. Nie wiem!...

Albert. Oh!... młodzieńcze!... widocznie nie znasz ani trochę serca kobiecego... — niedecyzyja moja gniewa ją!...

Witold. Ou?!..

Albert. Nie dziw się, ja tak znam kobiety!... miałem taką praktykę....

Witold. A więc!...

Albert. Więc podług taktyki pora, aby ją gonić... i dla tego przyszedłem tutaj dzisiaj... i pragnę z nią sam na sam pomówić... — proszę cię więc — odejdź!... i zostaw mnie!...

Witold. Pozwól... teraz na mnie kolej zwierzeń — kocham panią Idę!...

Albert. Ba!... (odsuwa karło).

Witold. Nie dziw się, wszak pani Ida;... jest najpiękniejszą!... najmilszą.

Albert. Wiem... wiem i cóż daléj!...

Witold. I dla mnie wiadomość o odjeździe pani Idy była piorunem!... bo i ja mam nadzieję, cień nadziei!...

Albert. Cieszy mnie, iż nadzieje twoje są tak nieokreślone!...

Witold. Nie miałem nigdy szczęścia do kobiet....

Albert. Żaluję cię — ale mów daléj!...

Witold. I ja postanowiłem dzisiaj dowiedzieć się o moim losie....

Albert. Mogę ci go przepowiedzieć....

Witold. Dziękuję....

Albert. A więc....

Witold. Więc odejść nie mogę (odsuwa się z karłem).

Albert (gniewny wstając). Więc chyba jeden z nas drugiego zastrzeli!...

Witold. Tu niewypada....

Albert. Ale coś trzeba zrobić... bo tak to żaden z nas nie dojdzie... (po chwili) Słuchaj, mam projekt... poddajmy się losowi!

Witold. Jakto!...

Albert. Mamy nadzieje równe!... chociaż szanse bardzo nierówne; lecz jestem wspaniałomyślny. A więc niech każdy z nas po kolei oświadczy uczucia swoje pani Idzie.

Witold. Na to nie mogę przystać....

Albert. Dla czego?...

Witold. Nie mam dość śmiałości... odwagi... zręczności, aby się tak oświadczać na prędce....

Albert. Więc po coś tu przyszedł....

Witold. Chciałem się przekonać tylko, czy pani Ida idzie na bal dzisiejszy... i zaangażować ją zarazem do kadryla... aby....

Albert (śmiejąc się). Ah!... jakież niewinne zamiary....

Witoll. A ty?

Albert (po chwili). A więc dobrze!... ty dla oświad-

czenia twych uczuć potrzebujesz otoczenia i gwaru... ja wolę zdobyć jéj serce... w samotności... bez świadków — wiesz więc co!... niech każden z nas po kolei... wynurzy swą prośbę — ty — aby poszła na bal... ja zaś, aby została w domu... czyją wypełni prośbę, ten bez wątpienia będzie zwycięzcą....

Witold. Nie wiem....

Albert (przerywając). Ja wybieram stokroć zadanie trudniejsze!... wszak bal dla kobiety — to królestwo niebieskie na ziemi (wyjmuje chustkę i wiąże węzełek). Wybieraj....

Witold. Co to ma znaczyć?...

Albert. Kto wyciągnie węzełek!... ten zostaje i zaczyna pierwszy... ale na wszystkie argumenta ma tylko pięć minut czasu....

Witold. Ale....

Albert. Przecież za pięć minut przekonasz ją, aby szła na bal... jeżeli już ubrana do tego.

Witold. Szalony pomysł (wyciąga węzełek).

Albert. Tyś pierwszy (bierze kapelusz). Zostawiam cię ale nie zapominaj, iż za pięć minut powracam... a będę punktualny.

Witold. Ale cóż powiem pani Idzie....

Albert. Powiedz, że zapomniałem... no... np. odnieść jéj książkę... do widzenia... (wychodzi) (n. s.). Niech się łudzi!... (Dok. nast.)

(Z Heinego).

Do błękitów, w których gwiazdy
Migotają porą nocną,
Chciałbym wargi me przytulić,
Płakać i całować mocno.

Bo te gwiazdy migotliwe
Rozrzucone na lazury —
To Jéj oczy, co łaskawe
Pozdrowienie ślą mi z góry.

Do niebiosów i do oczów
Méj najdroższéj ręce wznoszę,
I klęczący jak w kościele
Ocząt błagam i gwiazd proszę:

Śliczne oczy, światła moje —
Was do szczęścia mi potrzeba —
Niechaj umrę, bylem dostał
Was i z wami wasze nieba.

O ściany trzeszczące okrętu,
Gdziem oparł marzącą głowę,
Biją bałwany, dzikie bałwany
Szumią i huczą, słyszę ich mowę,

Słyszę jak mruczą mi:
Głupi, oj głupi!
Ręka nie oko, niebo wysoko,
I każda gwiazda przybita
Złotym gwoździem do błękita;
Więc próżna tęsknota, do gwiazdek wzdychanie,
Spij lepiéj, spij lepiéj mój panie!

Przyśniło mi się szerokie pole,
Śnieg biały pole pokrywa —
A jam pod śniegiem spał pogrzebiony
Snem, co się śmiercią nazywa.

Ale z wysoka z ciemnego nieba
Patrzały w grobu mego ciemności
Dwie gwiazdki — raczéj ócz jasnych dwoje —
Spokojnych, ale pełnych miłości.

Z PRZYRODY.

KOT.

(Dokończenie.)

Oczy kotów rozszerzają się i zwężają według przemian księżyca. Włożyć kota w worek i zanieść do obcego domu, on powróci do dawnego; pozostanie jednak, jeżeli się go niesie odwrotnie. Jeżeli kot znajduje się na wozie, a wiatr wzdłuż niego dmie na konie — męczą się bardzo, toż samo, jeżeli jeździec ma na sobie kocią skórę itp.

Mimo zaciętéj nieprzyjaźni kotów ze szczurami, narody te, jeżeli się ich zmusi żyć razem, stają się przyjaciołmi. Lemmery zamknął w klatce kotkę z kilku myszami. Kotka położyła się spać, myszy zrazu przestraszone oswoiły się zwolna, poczęły figlować z sobą, a nawet zaczepiały i gryzły kotkę, która od czasu do czasu dawała natrętnym fackę łapką. Nie powiada jednak p. Lemmery, czy kotka była wtedy po obiedzie.

Mózg kota przydaje się w lecznictwie jako filtrum, palec z bolącą zanokcicą kładą do ucha kota, co ma goić; trzy krople krwi kociéj z żyły koło ogona, rozpuszczone w wodzie, mają léczyć padaczkę; popiół z głowy czarnego kota ma być dobry dla utrzymania oczu itp.

P. Hécart z Valenciennes przyswoił kota dzikiego i oddał mu pod opiekę ułaskawionego wróbla, który sobie latał po ogrodzie. Kot z sąsiedztwa zakradł się i złapał go; opiekun rozzłoszczony przybiegł, wydarł mu zdobycz i odniósł panu w triumfie. Niemiecki „Przegląd historyi naturalnéj" opowiada, że w jednym dworze oddano pod opiekę dużego czarnego kota, kilka kuropatw, kosa, pare wróbli, zająca — i nie było groźniejszego nieprzyjaciela dla innych kotów i psów.

W krajach podległych trzęsieniu ziemi mają koty niespokojnemi ruchami przepowiadać katastrofę, a jeżli sobie gładzą wąsy, to znak blizkiéj słoty.

Kilka dni przed wielkiém trzęsieniem ziemi w Messynie, kupiec jeden zobaczył, że dwa jego koty poczęły w szczególny sposób drapać zamknięte drzwi — otworzył im, potém jeszcze dwoje drzwi, które je przedzielały od ulicy, poczém jak szalone uciekły za miasto w pole. Poszedł za niemi i widział, jak tam ziemię drapały. Wkrótce było pierwsze trzęsienie, w którém i dom kupca się zapadł.

Pisano już wiele o dziwnym wstręcie, jaki u niektórych osób obecność kota obudza, na niektóre aż pot zimny występuje, inne słabną i robi się im nie dobrze — tego usposobienia był Henryk III. francuzki, a jeden z książąt Noilles nie mógł znieść ani obrazu kota nawet w drugim pokoju. Gesner utrzymuje, że możnaby uleczyć tę słabość tak samo, jak wzajemny wstręt niektórych zwierząt. A znaną jest przecież powieść o jednéj staréj pannie, która sobie obłaskawiła 22 zwierzątek, pomiędzy któremi był: kot, pies, małpa, mysz, turkawka, kos i szpak; i wszystko to razem żyło, spało i jadło. Niemniéj ciekawe towarzystwo z rozmaitych zwierząt zebrał sobie i wodził ze sobą pan Pasek, jak to w pamiętnikach jego czytamy; a był tam i zając i lis i wydra itd. Widzimy téż po wystawach sklepów za granicą w oknach lub klatkach najrozmaitsze, zwykle nieprzyjazne sobie zwierzęta razem pomięszane i tak wesołe, że lud nazywa je: szczęśliwe rodziny.

Jeszcze słów kilka o dowcipie kotów. — W klasztorze jednym kot wiedział, że zawsze przed obiadem dwa razy dzwoniono i zawsze się stawił na to hasło. Lecz pewnego dnia w chwili dzwonienia znalazł się przypadkiem zamknięty w celi — trzeba było czekać powrotu zakonnika. Skoro tylko odzyskał wolność pobiegł szukać swojéj porcyi, ale napróżno; zapomniano o nim. Nagle dało się słyszeć dzwonienie, coraz głośniejsze, tak, że zakonnicy się zbiegli. Pokazało się, że kot dzwonił dopominając się w ten sposób obiadu. W innym klasztorze kot pociągał za dzwonek do kuchni — a skoro tylko kucharz się pokazał, wskakiwał przez okno do kuchni, porywał porcyją i w nogi. Trwało to kilka dni, aż go odkryto. Zakonnicy na conclave przyznali mu wskutek tego podwójną porcyją i pozwolenie porywania jéj w powyższy sposób; rozgłoszono całą historyję, i widzowie z miasta przychodzili, aby tę komedyją oglądać — oczywiście za opłatą.

Ogólnie znaném jest zdarzenie p. de La Croix. — Włożył on kota pod dzwon maszyny pneumatycznéj, i chciał wypróżnić go z powietrza. Kot czując, że źle będzie, zatkał łapką otwór, którym powietrze wyciągano. Po przypuszczeniu powietrza usuwał łapkę — ale ilekroć poczuł, że znowu ubywa, zaraz się bronił.

O przywiązaniu kotów zwykle powątpiewają, to jednak pewna, że osoby dobroczyńców swoich poznają i po kilku latach, z taką samą radością, jak to u psów się zdarza.

W podaniach ludowych prawie wszędzie utrzymują, że jak djabeł zamienia się nieraz w czarnego koguta, tak czarownice w kotów. Tak np. u Heinego opowiada dziewczyna z gór harcowych:

A kot, panie, czarownica,
Bo wśród nocy, burz i słót,
Z gór duchami się ugania,
Gdzie zburzony sterczy gród.

Widać z tego, że spryt, dowcip i złośliwość kotów nieraz się musiały dać we znaki — a pozór tajemniczości nadały im ich nocne wędrówki i świecące oczy.

Lwów, w listopadzie.

(Odczyty dla kobiet. — Wystawa obrazów Fr. Tepy. — Teatr. — Towarzystwo pomocy naukowéj. — Stowarzyszenie przyjaciół oświaty ludowéj. — Konkurs dramatyczny).

(M). Nastała teraz — przyznać należy, wcale mądra moda odczytów. Odczyty o wszystkiém i dla wszystkich stoją już przez kilka zim na porządku dziennym we wszystkich ogniskach cywilizowanego świata, a u nas najszczęśliwiéj może postanowiła zrealizować ten pomysł lwowska filia Towarzystwa pedagogicznego. Uchwaliła bowiem urządzić odczyty dla kobiet, mające je obznajomić w sposób łatwy do objęcia z ostatecznemi wynikami nowoczesnych badań umiejętnych we wszystkich dziedzinach nauki. Wykładać będą najlepsi nauczyciele, jakich Lwów posiada obecnie. Z największém zajęciem oczekują tu wszyscy początku tych wykładów — i pewni są jak najświetniejszych owoców. Nadzieje te opierają się bowiem na następującém rozumowaniu: Treść wykładów będzie bardzo ciekawa, i nie monotonna, bo codzień będzie wykład o czémś inném, prelegenci wytrawni będą pamiętać o tém, aby nie znudzić suchością traktowania przedmiotu nieprzywykłych do tego słuchaczek; a znów z drugiéj strony panie nasze jak najliczniéj mają zapisywać się na wykłady — jeżeli już nie z innych względów, to może choćby dla tego tylko, że to modnie. Wszakżeż we Francyi zgłosiło się tego roku 100,000 nauczycieli o pozwolenie wykładania kobietom nauk ścisłych w zakresie im odpowiednim, i każdy z nich ma nadzieję uzyskać dostateczną liczbę słuchaczek, więc czyż u nas nie miałaby się znaleść wystarczająca ich liczba dla 12 profesorów. Zresztą i ciekawość nie małą tu będzie także odgrywać rolę, bo zawsze to coś nowego.

Panna Felicyja Wasilewska, właścicielka jednego z pierwszych tutejszych zakładów naukowych żeńskich, urządziła także wykłady dla kobiet o literaturze pol-

skiéj. O ile nam wiadomo, zgromadza się dość liczne grono słuchaczek. Panna W. traktuje swój przedmiot jak najwszechstronniéj, zapatruje się na literaturę jako na wynik umysłowéj działalności społeczeństwa, więc téż nie o samych tylko mówi nazwiskach autorów i tytułach książek, ale podaje ogólne poglądy na charakter każdéj epoki, o któréj mówi, skreślając potem obraz literatury w tych epokach, jako zebrany w księgi objaw moralnéj i intelektualnéj siły społeczeństwa, objaśniając ten zarys, gdzie potrzeba, poglądami estetycznemi. Zbyteczném byłoby dodawać, ile taka metoda traktowania ożywia przedmiot.

W zeszłym miesiącu oglądaliśmy w sali ratuszowéj nowe obrazy p. Tepy. Był tam pastelowy portret Artura Grottgera i kilkanaście typów ludowych także akwarelą. Jeżeli mówią, że p. Tepa nie tworzy dzieł swoich siłą własnéj fantazyi, ale kopijuje tylko naturę, to przyznać należy, że kopijuje on ją z takim artyzmem, że zaspokaja w tym względzie najwybredniejsze nawet wymagania estetyczne.

Jak pod każdym innym względem, tak i co do zajmowania się teatrem poczyna u nas budzić się ruch większy. Pochodzi to ztąd, że i dyrekcyja naszego teatru więcéj zdaje się dbać teraz o rozwój sceny jak dawniéj. Nie przez złośliwość, ale poprostu ze szczérego przekonania mówię, że dawniéj formalnie zdawała się lekceważyć dyrekcyja glos opinii publicznej, domagający się od niéj, aby scenie naszéj nadała inny jakiś, odpowiedniejszy jéj zadaniu kierunek, bo zanosiło się już na to, że teatr nasz o mało że nie zaczęto uważać za zakład, mający na celu pustą rozrywkę tylko, nic więcéj. Tego roku i repertoarz bogatszy i więcéj doborowy, i w reżyseryi znać większą staranność. Zarzucają jeszcze powszechnie mierność personalu artystycznego. Temu brakowi nie tak łatwo jednak zaradzić. Na całéj przestrzeni Polski jest wszystkiego kilka teatrów, więc artyści nie mają pola do kształcenia się, i wiele zdolności dramatycznych, które w Niemczech np. miałyby sposobność doprowadzić do znakomitéj doskonałości, u nas marnieją, bo nie mają pola do rozwijania się. Na palcach można policzyć lepszych artystów i artystki polskie, więc nie ma w czém przebierać.

Nie godzi mi się, gdy jest mowa o teatrze, ominąć wzmianki o p. Bakałowiczowéj. Wykonanie każdéj roli, którą obejmie pani B. odznaczało się tak delikatném cieniowaniem i pełném artyzmu pojęciem jéj, że nawet niewykształcony widz czuje się porwanym uszlachetniającym wpływem takiéj gry. Mówią, że kobiety nie można zdefiniować, że jest ona niеodgadnioną. Otóż to właśnie, co w charakterach kobiecych nie da się odgadnąć, co się w niéj usuwa z pod skalpelu rozumowego badania i nie daje się ująć w formę definicyi, oddaje p. Bakałowiczowa z porywającą naturalnością.

Odbyło się tu niedawno walne zgromadzenie Towarzystwa pomocy naukowéj. Celem jego jest pomagać biednym dzieciom bez różnicy narodowości, wyznania i płci w kształceniu się. Nieraz znalazłaby się litościwa dusza, która pomogłaby jakiemu biedakowi do utrzymania się w mieście, gdzie są szkoły, aby nie zmarniał, ale wykierował się na człowieka miłego Bogu, a dla ludzi pożytecznego, tém bardziéj, jeżeli ma zdolności i ochotę do pracy. Ale nie zawsze odpowiada możność poczciwéj chęci. Otóż co dla jednego byłoby za ciężko, to kilku albo kilkudziesięciu ludzi w spółce o wiele łatwiéj mogłoby wykonać. I tak weźmy np., że jest gdzie w którém miasteczku, albo we wsi zdolny chłopak, a chętny do nauki, ale biedny. Zbiera się więc kilkanaście osób — a co najlepiéjby było, dwór w spółce z gospodarzami włościanami, i obowiązują się każdy po trochę, wedle możności dopomódz czémś wybranemu dziecku do nauki. Tym sposobem stają się już oni członkami Towarzystwa, i wybranek ich znajdzie wszędzie pomoc ze strony członków Towarzystwa, gdzie tylko oni istnieć będą — i to nie tylko pomoc materyjalną w pieniądzach, pożywieniu albo odzieży, ale i pomoc moralną: opiekę przyjazną i poradę. Chodzi tylko o to, aby tych członków jak najwięcéj było. Nie ma ściśle określonéj kwoty wkładkowéj dla członków Towarzystwa, bo i najmniejszy datek w naturze wystarcza do tego. Myśl to bardzo zacna i oby przyniosła takie owoce, jakie przynosi Towarzystwo Poznańskie.

Tutejsze Towarzystwo przyjaciół oświaty ludowéj rozwija się bardzo pięknie. Liczy już 41 filij powiatowych. W husiatyńskim powiecie zawiązały panie, należące do tego Towarzystwa osobny komitet, działający w porozumieniu z przynależnym Zarządem filialnym. Byłoby do życzenia, aby w innych powiatach naśladowano ten praktyczny przykład. Dla sprawy oświaty byłby z tego nie mały pożytek. Kto chciałby się w tym względzie lepiéj poinformować, niech napisze do Zarządu tego Stowarzyszenia (we Lwowie, ulica Syktuska l. 725 2/4). Kto jednak dobrze życzy temu Towarzystwu, i pragnie pomyślnych rezultatów dla jego usiłowań, powinien starać się jednać mu jak najwięcéj członków między ludem samym. Panie to nasze mogłyby tu wiele, gdyby tylko miały ochotę do tego apostolstwa....

Konkurs dramatyczny już rozstrzygnięty, przyznano premium Edwardowi Lubowskiemu za dramat Żyd. — O wykładach p. Szmidta napiszę późniéj.

Poznań w listopadzie.

Dnia 6 list. mieliśmy tu świetny koncert Antoniego Rubinsteina w sali bazarowéj, i Poznań oddawna pod takim nie zostawał urokiem; Bethoven, Mozart, Hayden,

Mendelsohn, Szopen, Szubert w europejskiéj sławy mistrzu znakomitego wykonawcę znaleźli. A grał nam także i kilka przepysznych utworów własnych. Sam jeden cały zapełnił koncert i publiczność przez godzin parę zachwycała się fortepianem jedynie. Zdawało się nawet, że wszelaki ton inny byłby raczéj popsuł tylko piękną całość harmonii programu.

Antoni Rubinstein urodził się w wiosce pod Jassami r. 1829. Matka udzielała mu pierwszéj nauki na fortepianie. Przeniosła się z nim następnie do Moskwy, a w r. 1830 wyjechał do Paryża. Tutaj Liszt posłyszawszy grę chłopca, zawołał: „On będzie moim następcą!“ — i sam gorliwie jego zajął się kształceniem. W 12tym roku życia dziecię-wirtuoz już odbył artystyczną podróż po Anglii, Holandyi, Szwecyi i Niemczech. Następnie pobierał w Berlinie od Dehna naukę o kompozycyi. W r. 1846 udał się do Wiednia, gdzie przez dwa lata zostawał. I wtedy to mianowała go w. księżna rosyjska Helena swoim muzykiem nadwornym, przyzwawszy go do Petersburga. Wydał wiele znakomitych kompozycyj tak dla orkiestry jako i na fortepian. W r. 1854 odbył artystyczną podróż po Europie i wielką sobie zjednał sławę. Następnie został ces. ros. kapelmistrzem, a w r. 1862 dyrektorem konserwatoryum w Petersburgu, które sam stworzył. Był nim wszelako przez dwa lata tylko.

Sala bazarowa była natłoczona słuchaczami — i znalazły się zespolone dwie narodowości — tak odrębnemi zwykle chodzące drogami. Stroje płci nadobnéj odznaczały się modą i wykwintem. Ogromne napiętrzenia bogatych włosów z wielkim były wykonane artyzmem — pełnym estetyki pewnéj. Ogony z ciężkiéj materyi kosztowne.

Ale co więcéj: Poznań karnawaluje w téj porze. (Wybaczcie mi ten wyraz!) — karnawaluje! 1go był bal na sali bazarowéj — bal kawalerski, bardzo wystawny. A 9go drugi na eleganckiéj sali hotelu europejskiego u Sterna. Obiad o ile wiemy, był u Kurnatowskiego, wykwintny. Co spowodowało te bale listopadowe? — zapytacie. Otóż wyścigi konne w Gostyniu i towarzyszące im wieczorki taneczne rozochociły młodzież. A wreszcie i koncert Rubinsteina do Poznania z wiosek przynęcił. I zaprawdę lepiéj, stokroć lepiéj — milion razy lepiéj, że bawią się w starym grodzie Przemysława, a nie gdzieś tam wśród Giermanów lub Gallów. Ruch, życie, polski taniec mazur na własnéj ziemi i we własnym zakątku — to i przyklasnąc temu tylko można.

Był téż tu przez dwa dni za interesem J. I. Kraszewski — a żałujemy wszyscy, że nie na dłużéj przybył.

Odczyty nader zajmujące i naukowe zarazem bywają w sali Towarzystwa przemysłowego. W zeszły poniedziałek czytał profesor Rituski „o kolorach“.

Szwedki dają koncerta w ogrodzie ludowym.

Żałujemy, że p. Stanisław Koźmian wystąpił z dyrekcyi teatru krakowskiego. Podniósł on niepomiernie repertoar i wpływ korzystny na całość wywierał. Życzyćby przeto należało, by usunięto nieporozumienie (?) i przybył nam znowu z Towarzystwem dramatyczném na przyszłe lato do Poznania.

Wspomnienie o Mickiewiczu. — Żona Edgara Quinet, słynnego pisarza i profesora, napisała pamiętniki z wygnania: „*Memoires d'Exil*“. Książka ta przypomina nieco dzieło wydane przez panią Hugo: lecz żona poety tylko osobą męża wspomnienia swe wypełniła — pamiętniki pani Quinet przedstawiają szerszy i mniéj osobisty horyzont. Znajduje się w téj książce rozdział pięknie i gorąco napisany a poświęcony wspomnieniu trzech profesorów z Collège de France.

„Przez ciąg lat kilku, powiada autorka, danem było trzem ludziom przywrócić żywemu słowu potęgę znaną tylko niegdyś w starożytnym świecie. Mickiewicz, Michelet i Quinet stoją dotychczas przed naszemi oczami jak kapłani i konsule téj rzeczypospolitéj dusz i umysłów, co się utworzyła wbrew ówczesnemu materyjalnemu prądowi. Ci trzej ludzie byli dla nas ideałem żywym społeczeństwa przyszłego. Do nich to niejeden z uczniów mógł się odezwać, jak Teages Platona: „gdym był przy tobie, gdym się twéj szaty dotykał, to czułem, że się zbogacam wiedzą, że rosnę w cnocie i chciałbym, aby mi życie zeszło na słuchaniu słów twoich“.

„Ci dwaj ludzie dawali swym słuchaczom pojęcie ojczyzny i poświęcenia; kształcili młodzież na obywateli, obudzając w niéj szlachetną dumę i niepodległość charakteru — zakładali podstawę prawdziwego braterstwa, spajając w jeden łańcuch dusze czyste i gorejące. Wielkie serca tych trzech ludzi były ogniskiem życia i światła — ogniskiem, u którego zawięzywały się przyjaźnie stałe i niczém nie rozerwane....

„W audytoryum cisnęli się przedstawiciele wszystkich narodowości dobijających się życia. Włosi, Polacy, Węgrzy, Hiszpanie, mieszkańcy Kordylierów i Rumunii — pomieszani z młodzieżą francuską. W głębi na miejscach, przeznaczonych dla dam, widziano kobiety, młode dziewice, przysłuchujące się słowom natchnionym i życie budzącym. Prąd elektryczny łączył uczniów z mistrzami; jakiś tajemniczy i ożywczy powiew przebiegał po audytoryum — było to tchnienie ducha nowego, rozdmuchujące iskry w sercach słuchaczy. W audytoryum przebijała wiara i młodość a na katedrze czuć było tę wzniosłą powagę, jaką dać tylko może wzniosły i nieposzlakowany charakter.

„Ten porywający wpływ, jakiemu ulegają słuchacze, nie zależy bowiem od umysłowéj tylko potęgi profesora, ani od formy jego słów i wymowy — ma on swe

źródło wyżéj. Tylko ci, których życie czyste jest jak kryształ skalny, mogą mieć tak zniewalający dar i urok. W słowach tych ludzi każdy słuchacz mógł zmierzyć swą wartość moralną, moc swego poświęcenia i poczuć skryte słabości lub upadek ducha. Dla tego to słuchacze tak całą duszą garnęli się do mistrzów i w sumieniach swych składali przysięgę, że chcą żyć dla ojczyzny, dla obowiązków, dla tryumfu wolności! Była to piękna chwila, zapowiadająca epokę nową — zdawało się, że duch przyszłości rozwija swe skrzydła do lotu, aby poprowadzić młode pokolenie tam, gdzie już sprawiedliwość króluje. Wtedy to jeden z trzech mężów kończąc swoj wykład, powiedział: „Nikt nie może przewidzieć, jaką formę przybierze to życie moralne, któregoście tutaj złożyli dowody, ale to pewna, że życie to nie zagaśnie“.

Klub fijołków. — Wieczorem schodzono się na czytanie, a były to po większéj części dawne znajome, koleżanki z pensyi. Za dużo jednak schodziło się niespokojnych duszyczek, jak, żeby sprawa przytém zostać miała. Reunionów, i tańców od przypadku, porzucić nie chciano — lektura jednak poczynała być nudną — na to trzeba było koniecznie rady. I tak pewnego wieczora r. 1866 nadobna Tekla P. przedłożyła zgromadzonym przyjaciołkom wniosek, żeby czytaniu dać pokój, a założyć klub. Posiew ten wydał zaraz owoce. Praktyczna główka Tekli miała już gotowe statuta, i tegoż samego wieczora ukonstytuowano klub, który na cześć ulubionego kwiatka założycielki przyjął nazwę: fijołek — nadto założycielkę zaraz na prezydentkę wybrano. Jak się można było spodziewać po serdecznych i rozsądnych dziewczętach, przyjęło bardzo szlachetny cel stowarzyszenie: Ubogie dziewczęta, zwłaszcza sieroty kosztem klubu przez osobną nauczycielkę w robotach kobiecych wykształcać, utrzymywać je, i ubierać. Statut tak rzecz urządził, że wkładki jednéj klubistki miały wystarczać na pomoc dla jednéj pupilki, i że klub tylko w zimowych miesiącach jest czynny. Wzięto się więc ochoczo do pracy, uczęszczano pilnie na posiedzenia, składano podatki i w tym celu robiono oszczędności w toalecie, i pod koniec pierwszego sezonu mogła już Tekla złożyć sprawozdanie, które u fijołków łzy radości i wzruszenia wywołało. Klub opiekował się już 10 ubogiemi dziewczętami, a kasa była tak zaopatrzoną, że wystarczało i na letnie miesiące. Drugi rok rozpoczął się równie pomyślnie, przybyło nowych członków, ośm nowych pupilek, życie w samym klubie było bardzo ruchliwe, zdarzały się czasami scenki, które jednak powtórnie obrana prezydentką Tekla z wielkim taktem uciszać umiała. I kończył się rok drugi, przygotowywano sprawozdania — gdy wtém tok rzeczy doznał nagle przeszkody. Prezydentka została narzeczoną i miała pójść za mąż na zielone święta. Podług statutów fijołków okoliczność taka wyklucza z klubu. Wielki rozruch pomiędzy fijołkami. Zwołano nadzwyczajne posiedzenie i po żwawych naradach zmieniono statuta o tyle, że do klubu należą wprawdzie tylko panny — ale zamążpójście nie pociąga za sobą wykluczenia. Ta poprawka utrzymała Teklę przy prezydenturze i pozwoliła jeszcze pięciu fijołkom tego samego lata, za przykładem prezydentki zaręczyć się i pójść za mąż. W październiku b. r. rozpoczął klub trzeci swój rok — ale jakżeż inaczéj wygląda! Do fijołków, których znowu przybyło, należało obecnie 6 kobiet — i czego fijołki nie przewidziały — zdarzyła się krizis.

Prezydentka zmuszona przestać bywać na posiedzeniach, zrezygnowała z prezydentury. Tłómaczyła się zajęciami domowemi — a nauczycielka klubowa kazała pupilkom robić czepeczki, na podarunek dla tyle zasłużonéj prezydentki. — Obecnie więc znajdują się fijołki w niemałym kłopocie. Inne pięć zamężnych fijołków także rezygnowały, bez podania przyczyn — a nauczycielka urządziła *en gros* wyrób czepeczków. Z młodszych fijołków żadna nie czuje się na siłach objąć godność naczelną, posiedzenia się nie udają, a sprawy załatwia się przez korespondencyją. Ładne bileciki z rozmaitemi projektami kursują od jednéj do drugiéj, codzień pojawiają się nowe plany, jak przetrzymać obecną krizis i nadal zapobiedz; a tymczasem mąż Tekli pełni urząd prezydenta, sekretarza i kasyjera. Tyle urzędów wbiły go widać w dumę, tak, że stał się aż niegrzecznym — i rozesłał okólnik z zawiadomieniem, że jeżeli w przeciągu tygodnia nowa władza nie zostanie wybraną, on i jego żona niczém nadal zajmować się nie będą. Okólnik ten spadł fijołkom jak grom, oburzyły się i obraziły tak dalece, że ma zapaść uchwała, że panieński klub fijołków, zamienia się na klub kobiecy w ogóle. Oto mały przykład, jak się konstytucyje! w miarę potrzeb i stosunków rozwijają — a działo się to w Wiedniu.

TEATR. Przybycie do nas p. Nowakowskiego i p. Borkowskiéj, było zarazem tryumfalnym wjazdem operetki, a w szczególności „Dziesięciu cór na wydaniu“. Pod tym względem był Kraków okropnie zacofanym; podczas gdy wszystkie stolice, stoliczki i miasteczka Europy zachwycały się niemi, do nas ledwie kilka tańców z téj operetki przemknęło się kontrabandą, a przedstawienia „cór na wydaniu“ odbywały się tylko prywatnie po domach i to z dość wielkiém powodzeniem od czasu jak „Starzy kawalerowie“ ukazali się na naszéj scenie. Żadnego roku nie skojarzyło się tyle małżeństw, i jeżeli we Lwowie dużo jeszcze pozostało cór na wydaniu, to jedynie w skutek tego, że cenzura tak

długo nie puszczała téj wpływowéj sztuki na scenę; jest to gruby grzech przeciw moralności, za który cenzura odpowie kiedyś przed staremi pannami. — U nas to co umarło w życiu, ożyło w pieśni czyli na scenie według słów poety, i „córy na wydaniu“ ukazały się na scenie. P. Nowakowski, pp. Borkowska i Rapacka stanowią tu główną forsę; z tych trzech danych p. Hofman (dyrektor) wynalazł nie czwartą niewiadomą, ale kilkanaście niewiadomych, nieświadomych nut ani szkoły i stworzył z nich chóry. Jakkolwiek między radami ewangielicznemi nie stoi „nauczanie śpiewu niemających wyobrażenia o śpiewie“, zawsze to jednak policzone będzie panu Hofmanowi za zasługę w niebie muzycznéni. Pewny jestem, że tamże nie żałowanoby i p. Nowakowskiemu łaskawego brawa za śpiew rutynowany i pewny, gdyby p. N. trzymał się w granicach komiki dozwolonéj przez autora „libretta“, który i tak dosyć sobie pozwala. Panu N. to nie wystarczało — przesadził, przesolił, przepieprzył i nieprawdopodobieństwo uczynił nieprawdopodobniejszém a do tego niesmaczném. Jestto wadą jego nabytą jak się zdaje na niemieckich teatrzykach, że często gubi miarę komiki, gdyż dotąd ledwie w „partyi pikiety“ i „folwarku Primerose“ widzieliśmy go umiarkowanym. — W „folwarku“ występowała poraz pierwszy pani Borkowska. Głos ma przyjemny, ruchy zgrabne i żywe, grę wdzięczną, co ją może uczynić użyteczną i w komedyi. — Na heroiny nie ma ani twarzy, ani postawy, co dla nas jest miłą zapowiedzią, że „Piękne Heleny“ i „Galatee“ nie wejdą z nią na naszą scenę.

Od Offenbachowskiéj operetki dziwnie mi jakoś i wstyd nawet przejść tak prosto do „Romea i Julii“; wydaje mi się to coś w rodzaju tegorocznych orkiestrowych potpourri, w których hymny tańcują strausowskie walce, a poćwiertowane członki klasycznych arcydzieł wałęsają się między dzwoneczkami, drewnianemi harmonijkami i tym podobnemi sztuczkami. Publiczność lubuje się w takiéj siekance, więc i tém sprawozdaniem się nie zgorszy, zwłaszcza, że „Romeo i Julia“ to także muzyka: miłość z serca jak z fortepianu dobywa po kolei przecudne tony wyznań, rozpaczy, zaklęć, szału, a liryczny nastrój całéj tragedyi bardziéj nadaje się do opery. „Romea“ można tylko śpiewać lub czytać; widziany na scenie traci wiele ze swéj idealnéj eteryczności. — Jeżeli trudno o dobrych kochanków scenicznych — to trudniéj jeszcze o przedstawienie „Romea i Julii“ tak, aby ono zadowalniało wszystkich. Każdy czuje się tu kompetentnym sędzią i krytykiem, bo każdy kochał się choć raz w życiu mniéj więcéj jak „Romeo“; odtworzyć więc każdemu, przypomnieć tę najpiękniejszą chwilę tak idealnie jak ona mu się wydawała w peryjodzie miłosnym — to rzecz nie mała. Niejeden np. student wyobraża sobie, że w takich chwilach był mniéj przesadnym, niż p. Ładnowski w scenie pod balkonem. Co się tyczy Julii, to trudniéj mi wyrokować, co sobie o niéj inne Julije myślały; w ogóle trudno mi nawet orzec, czy podobne Julije jeszcze istnieją, i jeżeli dzienniki warszawskie są w niepewności względem Anieli, jaką przedstawia p. Modrzejowska w „Ślubach panieńskich“, czy potop niemoralności tego stulecia nie zagrzebał jéj wraz z mamutowemi kośćmi; to niepewność jest o wiele większą, czy istnieje jeszcze taka Julia, któraby pragnęła, aby jéj Romeo nazywał się tylko Romeo, a nawet całkiem się nie nazywał. Dzisiejsze Julije mają troszeczki obszerniejsze wymagania i z przyjemnością widzą, jeżeli ich Romeo ma jaki taki tytulik, mająteczek, stanowisko i inne tym podobne akcesoryje. — Nic dziwnego więc, że p. Nowakowska w roli Julii nie zawsze i nie wszędzie z prawdą oddała zatracony typ idealnych kochanek; lubo przyznać trzeba, że w akcie czwartym (przed wypiciem napoju usypiającego) i w akcie piątym w scenie na balkonie, stanęła (mówiąc językiem niektórych recenzentów) wysoko.

Większym może anachronizmem niż szekspirowska Julia stała się dzisiaj dla nas mdła komedyja Korzeniowskiego „Wąsy i peruka“. Rzecz komedyi obraca się przez całe trzy akta około pytania: jak się ubierać? Po polsku czy po francusku? Buty kozłowe występują do walki z frakami i pludrami. Przed kilku laty była to dla nas kwestyja interesująca; dziś jak powiedziałem stała się anachronizmem. Któż bowiem z nas dzisiaj pojmie pasowanie się wojewodzica, gdy ma wybierać między frakiem a kontuszem? Każdy ruszy na to litościwie ramionami i pomyśli (jeżeli nie powie): „nad czémże tu myśleć, potrzeba kontusza, to wdziać kontusz, a nie, to frak; według tego jak pan burmistrz życzy sobie, że nie powiem zażąda. — Jeżeli prawdą jest, co mówi autor komedyi, że suknia to drugie ciało, to my przy téj łatwości wcielenia się o brak cielesności posądzeni być nie możemy. Komedyja Korzeniowskiego jest wielką nauką dla komedyjopisarzy, aby tendencyi sztuki nie opierali na tak zmiennym żywiole jak są mody ubiorów, a przynajmniéj, aby ich nieśmiertelność asekurowali w towarzystwach zabezpieczenia życia. Dwie tylko rzeczy nie przeżyły się w téj komedyi, tj. francuskie paplanie i obsypywanie się pudrem *), który dziś szersze znalazł zastósowanie. Pokazuje się, że te dwie rzeczy mają w sobie zarody nieśmiertelności i bramy piekielne nie przemogą ich.

Pisząc to sprawozdanie, omal nie zapomniałem wspomnieć o dwuaktowéj komedyi „I radość przestrasza“. Jestto sztuka znana i zapomniana. Występował w niéj

---

*) Zfrancuziałą i wypudrowaną damę pani Aszpergerowa oddała ze znamienitą charakterystyką, humorem i prawdą, talent jéj błysnął w téj roli dawną świetnością i ogniem.

u nas przed kilku laty p. Richter w roli służącego, który jest jedyną wybitniejszą figury téj łzawéj i czarno-żałobnéj, mokréj komedyi. Gdzie spojrzysz, wszędzie płaczą i kobiety i mężczyzni; zdaje ci się, że na całéj scenie nie ma suchego miejsca, bo gdzie kto usiędzie, tam płacze i mama i córka i lokaj i jeden młody człowiek i jeszcze jakaś panna, a powód płaczu: podziurawiony kulami mundur młodego człowieka, który w téj rodzinie był synem, bratem, narzeczonym, przyjacielem i panem (odnośnie do służących). Rozumie się, że śmierć piastuna tylu godności i obowiązków, musiała dotkliwie dać się uczuć. Ale w połowie pierwszego aktu ów opłakiwany zjawia się. Ustaje więc powód płaczu i komedyi, tak przynajmniéj każdyby się domyślał: tymczasem autor a raczéj autorka przez całe półtora aktu męczy cierpliwość widzów nudnemi scenami, w których wszyscy chcą przygotować matkę do téj wesołéj wieści, co zresztą byłoby dla nich łatwą rzeczą, gdyby autorka trochę ze swéj strony dołożyła chęci i zamiast dreptać w miejscu, zabrała się na dobre do tego. — Ale nie! Matka perswazyi nie przyjmuje, bo ona chce cierpieć; widzi koło siebie uśmiechnięte, rozpogodzone twarze tych, którzy przedtém wspólnie z nią płakali, rozpaczali — i nie chce się domyślać niczego. — Wreszcie wpada syn na scenę — matka mdleje — chwila milczenia, podczas któréj widzowie wdziewają pletoty i biorą za kapelusze — wreszcie matka otwiera oczy i rzuca się w ramiona syna i woła: radość nie zabija.— Szkoda, że autorka téj sentencyi nie postawiła na początku komedyi, a byłaby oszczędziła sobie i widzom tyle męczących scen. — Sztuka zaczęta smutnie, kończy się wesoło. Radość jest ogólna — na scenie cieszą się z powrotu członka rodziny, a publika z ukończenia sztuki. W takich warunkach oklaski koniecznie nastąpić musiały. Ja sam klasnąłem z uciechy, a oklask mój zatytułowałem na wzór komedyi: „I nudne sztuki mają swoje brawa“. B.

Kronika. — **Złe czasy.** — **Społeczne znaczenie preferansa.** — **Estetyka tytoniu.** — **Towarzystwo ciężarem.** — **Muzyka stratą czasu.** — **Bunt.** — **Przypisek.**

Opowiada Kochanowski o jednym astronomie, że się zabawiał romansami gwiazd, a nie wiedział, co się u niego w domu dzieje. To samo możnaby powiedzieć dzisiaj o filozofach i politykach, którzy ubolewając nad upadkiem i rozstrojem społeczeństw, szukają odległych i głębokich przyczyn ludzkiéj nędzy, a nie widzą tego, na czém codziennie utykać potrzeba. I tak utrzymują powszechnie, że świat — a świat przez niepojętą dumę ma znaczyć tyle, co ludzie — że więc świat coraz się więcéj staje materyjalnym, goniącym za mamoną i przyjemnościami zmysłowemi, a nie dba o dobra duchowe. Możnaby na ten temat prawić wymowne kazania; ale cóż, kiedy zarzut ten jest bez podstawy. Na czémże to bowiem polega to zmateryalizowanie — oto:, że zamiast rąk ludzkich — robią maszyny; zamiast tłuc się po złych drogach, pędzimy koleją; zamiast zamknięcia i odosobnienia chińskiemi murami, korespondujemy z całym światem zapomocą drutu telegraficznego; zamiast chodzić w włósiennicy, ubieramy się w jedwabie; zamiast się żywić żołędzią, połykamy ostrygi itd. a cóż to wszystko znaczy: oto że odkrywamy coraz więcéj praw i sił natury, umiemy je podbić i korzystać z nich, duch nasz panuje coraz obszerniéj nad resztą stworzenia; potrzeby nasze ciągle się wzmagają i uszlachetniają, a więc ludzkość się doskonali. Wiadomo przecież, że stopień cywilizacyi jakiegoś kraju obliczają niektórzy według ilości mydła, jaka tam wychodzi. Naturalnie, że zwiększone potrzeby wymagają też więcéj pracy — większéj gonitwy za zarobkiem — ale nie nazywajmy tego materyjalizmem, co jest owszem tryumfem ducha i wyzwalaniem się jego.

Przyjemności, biesiady duchowe nigdy tak nie smakują i nigdy ich właśnie człowiek tak nie pragnie, jak jeżeli spracował się wśród zabiegów życia; wtedy potrzebuje odetchnąć, zaczerpnąć sił, nie tylko fizycznych ale i moralnych — i wtedy dziedzina ducha, literatura, sztuki przychodzą mu w pomoc ze swojemi idealnemi lekarstwami, wtedy stara się siebie i swoich u ogniska rodzinnego otoczyć wszystkiem tém, co człowieka ulepsza i uszlachetnia, co nieśmiertelne i nieprzemienne, co płynie ze źródła wiekuistéj prawdy i piękna, a w sercu ludzkiém powinno znaleść uprawną glebę dla siebie. Więc nie narzekajcie na upadek, na brak moralności. Są to odwieczne, nałogowe przywyczki ludzi krótkowidzących. Już w najstarszych książkach znajdują się narzekania na złe czasy, że dawniéj lepiéj bywało itp. Tymczasem, czy są dzisiaj tortury? czy jest pańszczyzna? czy zdarzają się trzydziestoletnie wojny? czy zdarzają się głody i zarazy pochłaniające całe miasta i wsie? nawet Vezuviusz ucywilizował się i chociaż nie przestaje hecować z ognistą lawą, jednak nie zalewa już miast, ale prosto do morza jedzie! Powiadają, że w polityce nie ma dziś moralności. Temu nikt nie zaprzeczy, a zwłaszcza żaden Polak — wypada tylko dodać, że jéj nigdy nie było, a postęp jest i tutaj. Bo jeżeli przed stu laty chwalono się publicznie, np. ze zbrodni rozdarcia Polski, to dzisiaj jest to już hańbą i wstydem tak napiętnowanym, że przynajmniéj ile możności nie mówi się o tém. A kiedy przyjdzie do odbudowania Polski, to można z góry być pewnym, że wtedy i Bismarki i Aleksandry i Napoleony, nawet Meternichy z grobu czułym głosem wołać będą: że to było ich najgorętszém pragnieniem, że im kamień z serca spada!

Więc nie jest tak źle dzisiaj, jakby się to komu zdawało. — A jednak jest źle i bardzo źle, czuć zgniliznę, jak mówi Hamlet — a zwłaszcza u nas. Ogarnęła społeczeństwo jakaś apatia, bezwładność, życie idzie po wierzchu, wstręt do myślenia, niezdolność do prawdziwego uczucia, wzajemna nieufność, nijakość zaczyna się stawać naszym charakterem, ani wielkich cnót, ani wielkich zbrodni, wszystkie dusze przykrawają się jak fraki według jednéj powszedniéj miary — dowiedziałem się nawet ze zgrozą, że „Kalina“ nie ma dwóch tysięcy prenumeratorów! Oto są choroby — ale gdzie ich przyczyny?

Mój kronikarski humor zgorzkniał srodze pod ciężarem tego pytania, a nie chcąc szukać jak ów astronom za chmurami tego, co może pod stopami się znajduje, postanowiłem oglądnąć się w koło siebie. Poszedłem więc najpierw do Dra Rydla, żeby się upewnić, czy mam zdrowe oczy i dobrze widzę, a następnie udałem się w świat, na wędrówkę. Byłem w towarzystwach męzkich, żeńskich, mięszanych, w resursach i kasynach, na chrzcinach i na imieninach, na odpustach i na stypach, i nareszcie udało mi się,

żem odkrył raka, który nas toczy. Zdumiałem się — tak jak się publiczność zdumi, skoro usłyszy moje objawienie! Nie spodziewajcie się nadzwyczajnych rzeczy, ale wiedzcie, że gdyby to objawienie było znane wtedy, kiedy układano przykazania i kodeksa moralności, to nie ulega wątpliwości, że do siedmiu grzechów głównych zostałyby na czele policzone dwie namiętności: karty i tytoń! Tak jest, karty i tytoń. Kto chce, niech się śmieje — ja zaś tylko tyle wiem, że na samo ich wspomnienie nudzę się, krztuszę i oczy mi się łzawią. Bo proszę tylko uważyć: Ledwie się zejdą mężczyźni, już też zaraz zielony stolik obsiadają — przesiedzą trzy, cztery godziny nie myśląc nic, a tylko rozgorączkowują nerwy nieszlachetną żądzą. I gdzie tam któremu z nich wspomnieć o tém, żeby co przeczytał, albo raczéj przeszedł się na świeże powietrze — nie ma czasu, bo preferans czeka! I niechby się zjawił ksiądz Baudouin z jaką składką, to i dzisiaj dostałby może policzek, ale sztona ani jednego! Zjadą się panowie i księża na odpust, a zaledwie zjedzą i wypiją, dalejże do maczka albo ferbla, a ludek boży przypatruje się przez okna!! I wspomnij tam któremu z nich o literaturze, o dziennikach, o sprawach krajowych, o oświacie, o szkółkach! — czyż to nie dosyć czasem tam w powiatowéj stolicy zadeklamować kilka frazesów, wytoczyć beczkę piwa dla demokracyi, a zresztą zdać się na Napoleona, na hrabiego X. — i na faktora — a samemu do preferansa. Schodzi się towarzystwo mięszane, albo zjeżdża się sąsiedztwo do dworu — aliści zaraz po przywitaniu rozdzielają się białe i czarne owce. Kobiety osobno — niech sobie robią co chcą — a mężczyźni do preferansika i do cygar. I robi się w pokoju atmosfera knajpowa, ciemno i duszno i nic nie usłyszy tylko jakieś kabalistyczne: „ośm bez“, „mizerka“, „contra“, „szamszurka“, „konsolka“ — a na fizyognomiach osiada wyraz bezmyślności. — A jeżeli owce się nie rozdzielą — to bez żenady panowie w towarzystwie kobiet zaczynają kopcić, a panie z całą uprzejmością rezygnacyi oświadczają: że owszem, lubią to! I widziałem niedawno takie zdarzenie. W lokalu towarzyskim zasiadło koło stołów kilka pań i kilkudziesiąt mężczyzn — odbywała się loteryjka fantowa. W pół godziny powygrywano fanty — i nagle, jakby na dane hasło — mężczyźni co do nogi wynieśli się na karty i papierosy — a panie zostały same, jak gdyby porzucone bóstwa, których się naród wyprzysiągł.

I cóż z tego wszystkiego wynika? Oto mężczyźni unikając towarzystwa dla płaskiéj rozrywki, albo dla nieszlachetnego zysku, dziczeją, porastają w skórę słoni, obojętnieją dla wszelkiego piękna, powabu i wdzięku, władze ich umysłowe tępieją — młodzież prawie już nie istnieje. A kobiety, stworzone na to, aby być magnesem spajającym w harmonijną całość sprzeczne żywioły, aby łagodzić szorstkości społeczne, pozbawione są sposobności dla wywierania swojego wpływu; mężczyźni nie starają się wcale, aby rozszerzać ich horyzont — i zostawione same sobie, ograniczone na codzienne zajęcia schodzą zwykle na najpowszedniesze rzeczy, na modę i ploteczki. One jedne jeszcze coś, czasem przeczytają — ale to nie z potrzeby moralnéj, ale z nudów, nie jest to bogaceniem duszy, ale głodem ciekawości. Lecz one temu niewinne, im potrzeba życia — samo czytanie nie wystarczy — a tradycyja salonu, stała się dzisiaj już jakąś przedpotopową bajką. Są usiłowania, żeby salony zastąpić przez zaprowadzenie *jours fixes* — ale o ilem widział, zwłaszcza w mniejszych miastach, to i te jours fixes schodzą tylko na karciane ujeżdżalnie i tytoniowe kuchnie.

Są np. wieczorki towarzyskie w Resursie z perspektywą tańców — są wieczory Kasyna artystyczno-literackiego, na których można słyszeć muzykę wyborną, klasyczną, jakiéj zresztą w Krakowie nie znajdzie, i Bethovena i Mozarta i kwartety i sola, i duet z Haydna i preludium Bacha na sopran, produkcyje w całem słowa znaczeniu artystyczne — ale panowie krzywią się, bo ich na jeden wieczór z stolikami na tył rugują; ile możności nic mówią nic o tém w domu, bo trzebaby przyjść razem, i nie wypadałoby panie same zostawić — a to fatalnie nudno — tyle czasu się traci! A jeżel się zbierze świetne towarzystwo — to panom (z małemi wyjątkami) z pewnością to nie na rękę. Jeszcze do tego wykonują tam muzykę seryjo, żeby smak kształcić, a walca to nawet na prośbę obywatela nie chcą zagrać.

I niechże kto jeszcze teraz zaprzeczy, że karty i tytoń nie są przyczyną, że społeczeństwo się rozbija, ordynarnieje, traci wszelkie szlachetniejsze aspiracyje — słowem, że nie ma społeczeństwa! Jeżeli taniec jeszcze młodzieży nie zbliży czasem do pań, to zresztą nie zwabi ich ani towarzystwo, ani rozmowa, ani wspólne przeczytanie czegoś — żaden nie śmie rozmawiać z panią — bo nie wie o czém; chyba o kartach, albo komunały o teatrze, albo o hartach i polowaniu... wyśmiałaby go i słusznie.

A więc trzeba temu zaradzić. Podaję wam Sz. Czytelniczki dwa sposoby. Po pierwsze, żądajcie każda przed ślubem, żeb przyszły pan mąż uroczyście kart się wyprzysiągł i zaprzysiągł, że w domu u was nigdy zielonego stolika nie będzie. Środek ten może ocalić przyszłość. Ale na dzisiaj pozostaje tylko drugi, heroczniejszy. Oto oświadczcie się za równouprawnieniem. — Przecież w sferze towarzyskiéj to, co jest dobre dla mężczyzn, nie może być złem dla kobiet — a więc do dzieła: na bok mąż, dzieci i gospodarstwo, na bok kuchnia i książki, na bok stroje i literatura, a natomiast zacznijcie i wy grać; grać od rana do nocy, od nocy do rana i palić fajki i cygara — a zobaczymy, jak się to spodoba panom świata. Niebawem zaczną paktować — a wtedy już wygrana Wasza — postawicie żądania: albo ani wy, ani my — albo i wy i my — a muszą ustąpić. —

Ale ba! grać jeszcze, jak grać — ale palić! zdecydować się na tak gwałtowne lekarstwo, żeby robić komin ze siebie, wędzić się jak szynka i upajać się czadem jak dzicy ludzie, *ce serait trop fort*!

Powiadają, że to już w Warszawie przyjęło się — ale to pewnie bajka, przez oficerów rosyjskich wymyślona. Lecz zachodzi tu inna okoliczność. W Wenecyi w ostatnich czasach rządów austryjackich przestano zupełnie palić tytoń ze względu na ciężkie podatki. U nas ten wzgląd nic nie znaczy — my powinniśmy się rujnować, byle Rządowi przysparzać dochodów, ponieważ jak zaręcza „Czas“, „Gazeta Narodowa“ i „Przegląd polski“ — pierwszym obowiązkiem polskiego patryotyzmu jest utrzymanie potęgi Austryi. A więc Szanowne Panie mimo wstrętu do tytoniu powinnyście z patryotyzmu palić na wyścigi z mężczyznami. A jeżeli nie możecie się zdobyć na tyle poświęcenia — to już dalibóg nie wiem, co Wam poradzić — i zostawiam całą sprawę własnemu Waszemu dowcipowi — amen.

P. S W lwowskich pismach czytamy wiadomości o odczytach dla klas pracujących (sic). Ośmielamy się zapytać co to znaczy? które klasy są pracujące, a które próżnujące — i do którego gimnazyum te klasy należą?

Mody na grudzień.

Opis ryciny.

Karnawał się zbliża — więc zawczasu rozglądnąć się trzeba, czego od mody wymagać będzie:

Strój balowy osoby pierwszéj. Suknia biała atłasowa, na dole pół łokcia szeroką falbaną z białego tarlatanu obszyta. Falbana jest ogarnirowana bufką w czworograniate zęby. Nad tą falbaną jest spadająca bufa zakończona pasem atłasowym niebieskim ⅛ łokcia szerokim, od którego wychodzą ku górze dwie równéj szerokości bufy. Stan wycięty ogarnirowany dwoma bufkami. Pasek niebieski atłasowy przytrzymuje szarfę wychodzącą od dołu i bretele ozdobione na ramionach polnym makiem i trawami. Także maki i inne polne kwiatki wpięte we włosach i na sukni od dołu przepinają szarfę i obszytą falbanę.

Osoba druga ubrana w **sukni tarlatanowéj białéj**. Od dołu są dwie małe bufki, nad niemi szeroka brukselska koronka, od któréj duża bufa idąca aż do stanu przepięta jest w koło dwa razy, szeroką wstążką atłasową, różową. Na dolném przepięciu jest umieszczony w tyle fontaż, którego końce pociągnięte są pod bufę i spięte małym fontaziem w kształcie motyla. Stanik biały koszulkowy, pokryty jest gorsecikiem różowym, którego przód tak samo urządzony jak plecy. Na ramionach różowe fontazie, a we włosach róże bez liści uzupełniają strój.

Kroje i wzory.

(Strona I. arkusza). Ubrania różne, zimowe, domowe, do wyjścia itd.

Suknia „**Henri III**“.

Fig. 1. Przód paletota ————————
Fig. 2. Boczek ————————
Fig. 3. Plecy ————————
Fig. 4. Dół paletota ✻ ✻ ✻ ✻.
Fig. 5. Połowa dużéj peleryny — — — — —.
Fig. 6. Połowa drugiéj peleryny ✻ ✻ ✻ ✻.
Fig. 7. Połowa kołnierza ✻ ✻ ✻ ✻.
Fig. 8. Rękaw — • — • — •.
Fig. 9. Spodniczka wierzchnia — • — • — • — •.

Każda z tych części kraje się podwójnie, stan podszywa się do pasa perkalem. Gdy już stan podług oznaczającycli głosek jest zeszyty, natenczas dół paletota Fig. 4. od *H* do *F* się marszczy i do boku od *F* do *G* przyszywa, a zmarszczenie do dołu stana tj. do plecek. Dół paletota obszywa się frandzlą jedwabną i aksamitką, którego to obszycia początek i koniec głoska *B*. oznacza. Z przodu spina się paletocik na guziki. Duża peleryna jest obszyta frandzlą i aksamitką, od góry ułożona we fałdy, oblamowana wstążeczką i do stanu podług oznaczonéj linii od *M* do *L* przyszyta. Druga peleryna obszyta dołem frandzlą i aksamitką przyszyta na linii od *N* do *O*. Kołnierz obszyty frandzlą i aksamitką, przyszywa się wraz z garnirunkiem z aksamitki około szyi, a z przodu na guziki się spina. Rękawy winny być odpowiednio ogarnirowane. Po każdéj stronie z boku podpina się paletocik aksamitną rozetą, zakończoną w środku guzikiem.

Spodniczkę wierzchnią także obszywa się frandzlą i aksamitką podpięta po bokach rozetami z aksamitu, spada na dłuższą, obszytą dołem szeroką we fałdy ułożoną falbanę.

Stan wycięty z klinową spodnicą.

Fig. 10. Przód × • × • × • × •.
Fig. 11. Boczek × • × • × • × •.
Fig. 12. Plecy × • × • × • × •.
Fig. 13. Rękawek~~~~~~~~~
Fig. 14. Bufa na rękaw~~~~~~~~~
Fig. 15. Przód spodnicy ×—×—×—×—.
Fig. 16. Bok spodnicy ×—×—×—×—.
Fig. 17. Tył spodnicy ×—×—×—×—.

Przykrojony stan z wierzchu i podszewki zeszywa się podług oznaczonych głosek. Robią się z przodu wszytki i do każdego szwu cienkie rożki wsuwają. Z przodu dają się guziki do zapięcia. Rękawek gładki pokrywa się sutą bufą i wraz z wązką falbanką do pachy się wszywa. Spodnica kraje się przodu w całości, inne dwie części podwójnie, pomiędzy dwie części Fig. 17. daje się jeszcze jeden cały bryt.

„**Baszlik**“.

Fig. 18. — — — — — — — — — połowa baszlika. Kraje się więc podwójnie z flanelki od *A* do *B* i od *A* do *C* się zeszywa. W około jest w zęby wycięty, lamuje się atłasem i obszywa frandzlą. Na końcach szarf i na końcu kapturka daje się jedwabne kutasy.

Kapturek „**Isabeau**“.

Fig. 19. • • • • • • • • •. Kapturek ten kraje się w całości od *A* do *E*, zeszywa się obrąbkiem. Tak zeszyty kaptur rozkłada się i *C* do *D* mocno przyczepia, przez co ułoży się zgrabny kapturek. Nad *E* układają się dwa małe fałdy, każdy koniec, jako też koniec kapturka ozdobiony jest kutasem. Kraj kapturka wyszyty sznurkiem jedwabnym w rozmaite wzory.

Pelerynka z kapturkiem

Fig. 20. Kapturek ————————
Fig. 21. Karczek ————————
Fig. 22. Pelerynka — — —.
Fig. 23. Listewka do szyi — — —.

Z atłasu białego i podszewki kraje się kapturek i pelerynka w całości. Inne części podwójnie. Tak ukrojone części watują się cienko i pikują w drobną kratkę. Karczek jest do kapturka od *A* do *B* zmarszczonego przyszyty i w około wraz z końcami i około twarzy puszkiem obszyty. Peleryna obszyta puszkiem na dole i przy karku ozdobiona jest rozetą ze wstążki białéj atłasowéj. Wstążki białe atlasowe przyszyte do wiązania.

Wzory. — (Strona II. arkusza).

Nr. 1. **Pokrycie** na półeczkę lub fajczarnię robi się z pąsowego sukna, obszywa krajem krepinką czarną, przy któréj brzegiem są kulki (picot) z zielonego jedwabiu, krzyżyki pąsowe i węzełki żółte. Drugi rząd wyszycia robi się z żółtéj krepinki przyszytéj czarnym jedwabiem. Wężyki wyszywa się zielonym sznurkiem. Wyszycie w kształcie wachlarzy robi się z białego sukna, czarnym jedwabiem do tła się przydzierguje i podług wzoru pstrym jedwabiem tj. zielonym, pąsowym, żółtym, czarnym i fijołkowym wyszywa. Mały rzucik złożony z dwóch kółek zielonych, przedzielonych żółtą pałeczką, na tle w pewnych odstępach się rozrzuca.

Nr. 2. i 3. **Wzory do wyszywania na kołdry pikowe.** Pierwszy z nich jest wyszyty białą plecionką przyszywaną pąsowym jedwabiem, wszystkie żyłki i kropki są z jedwabiu pąsowego. Nr. 3. jest na żółtéj pikowéj kołdrze brązowym i czarnym jedwabiem w połączeniu z brązowym jedwabnym sznurkiem wyszyty.

Nr. 4—5—6—7—8. **Różne wzory do haftu i wyszycia**, stosowne na **poduszeczki** do gotowalni, denka do **czepeczków**, **podstawki** pod lampę, lub **narożniki** do chustek.

Nr. 9. i 10. **Kołnierzyk** i **mankietki** haftowane na tiulu podłożonym mulem.

Nr. 11. i 12. **Szlak i połowa staniczka do fartuszka** z białéj piki dla małéj dziewczynki, wyszyty czarnym jedwabiem.

Nr. 13. i 14. **Kołnierzyk i część mankietu.** — Haft na mulu. —

Nr. 15, 16, 17, 18, 19, 20. **Różne ozdoby** haftowane na mulu lub batyście. Jakoto: Nr. 15. podkłada się pod mul, perkal, ząbki się gęsto stębnują i obszywają koroneczką. Nr. 17. i 18. także podłożony perkalem i obszyty koroneczką, ozdobiony oprócz tego wstawką koronkową, jak to liniami gładkiemi jest odznaczone. Nr. 19. jest na gładkim płóciennym kołnierzyku jako ozdoba tegoż haftowany.

Nr. 21. **Wiązane T. B.**
Nr. 22. **H. V.**
Nr. 23. **J. S.**
Nr. 24. **P. W.**
Nr. 25. **A. D.**
Nr. 26. **O. L.**
} **Haft atłaskiem na rogach chustek lub innéj bielizny.**

Nr. 27. i 28. **Dwie korony** wyszyte ściegiem ruskim:

Nr. 29. **Narożnik do chustki.**

Nr. 30. **Mała wiązanka kwiatów**, haft atłaskiem.

Nr. 31. **Liczba 5. z ozdobą.**

Nr. 32, 33, 34, 35, 36, i 37. **różne wstawki** ruskim ściegiem wyszyte.

Nr. 38. **Szlak do spodnicy** lub kołderki dziecinnéj, wyszyty tasiemeczką.

Nr. 39. **Wiązane C. F. haft francuzki.**

Nr. 40. **Szlak z narożnikiem** wyszyty jedwabiem na skurze lub wełnianéj materyi.

☞ Spodziewamy się, że obfitość wzorów i krojów najpotrzebniejszych zadowolni Sz. Czytelniczki. Na Nowy rok przygotowujemy jeszcze bogatsze rzeczy.

*** W sobotę 21 listopada rozpoczęły się **Odczyty popularne w Sali Muzeum technologicznego,** i odtąd codziennie po 2 godziny odbywać się będą. Radzibyśmy zwrócić na nie uwagę Szanownych Pań naszych, ile, że dla nich przedewszystkiém są przeznaczone. — Kurs nauk przyrodniczych kompletny, w ciągu 6ciu miesięcy może bardzo pożytecznie dopełnić wiadomości powziętych w zakładach wychowawczych żeńskich, dodając nowego powabu piękniejszéj połowie rodu ludzkiego. Mamy nadzieję, że przenikliwość, jaką się Polki odznaczają, nie dozwoli im ominąć obojętnie téj zręczności wybornéj nabycia nie wielką ofiarą czasu i pieniędzy wiadomości, które najpożyteczniéj na całe ich życie wpłynąć mogą. Nigdy czytanie książki, choćby najlepszéj, nie zastąpi wykładu, objaśnianego doświadczeniem i przedstawieniem przedmiotu. Bardzobyśmy smutną wyciągnąć musieli wróżbę dla przyszłego pokolenia matek polskich, gdyby te rozpoczęte kursa, dla braku udziału ze strony Pań naszych po pierwszym kwartale ustać miały. Owszem tuszymy sobie, że raz otwarte każdéj zimy powracać będą, szerząc światło i wyższe ukształcenie w dorastającém pokoleniu.

O bliższych szczegółach i programie udzielimy zgłaszającym się najchętniéj wszelkich informacyj.

*** **Ogłoszenie konkursu** — Towarzystwo Przyjaciół Nauk Poznańskie ogłosiło przez odezwę z dnia 1 lipca 1858 r., umieszczoną w pismach czasowych polskich. Konkurs do napisania: „Historyi włościan i stosunków ekonomicznych w dawnéj Polsce“, podejmując się zarazem przysądzenia naznaczonéj przez hr. Augusta Cieszkowskiego, nagrody 1000 talarów pruskich najlepszéj z prac, które w ciągu dwóch lat następnych nadesłane zostaną.

Kiedy w terminie naznaczonym nie nadesłano pracy i kiedy ponowione dwukrotnie przedłużenie terminu prekluzyjnego podobnież bez pożądanego pozostało skutku, postanowił zarząd Towarzystwa zgodnie z życzeniem hr. Cieszkowskiego ograniczyć zadanie to w ten sposób, że do nagrody przyjmowane będą monografie, wchodzące do historyi włościan i stosunków ekonomicznych w dawnéj Polsce.

Nagroda udzieloną będzie w całości, lub częściach stosunkowych, jeżeli więcéj prac na uwieńczenie zasługujących Towarzystwu przedłożonych będzie.

Dla prac nadesłać się mających naznacza się termin prekluzyjny do dnia 1 stycznia 1871 r. Pisma nadsélać należy franco na ręce sekretarza zarząd Dra Świderskiego w Poznaniu.

Wszystkie pisma czasowe polskie upraszamy o powtórzenie ogłoszenia niniejszego.

Poznań, dnia 3 listopada 1868.

Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego.

*** **Reforma** — zeszyt VI. 19. listopada zawiera: Drogi wytknięte V. — W sprawie oświaty i szkół ludowych przez B. T. — Nafta, czyli olej skalny, przez Henryka Waltera. — Korespondencyja. — Przegląd polityczny. — Dziwadła historyczne J. Gordona. — Cena kwartalna **1** złr. — można prenumerować w biurze „Kaliny“.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.
Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.
W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Jagiellońska 204, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“ i księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.
W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.
Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.




2


3


4


5


6


7